

Połaskotać słonia czyli arbuzowa opowieść. Część 6 - Rozkołysać marzenia



Szedł w moją stronę powoli, ale w jego krokach nie było już widać dawnego lęku czy nieśmiałości. Stąpał bez pośpiechu, bo głowę bardziej niż wyborem kierunku drogi zajęta miał marzeniami. Poznałam to po kolorze jego skóry – zwykle cudownie różowej, teraz przybierającej barwę delikatnego błękitu, ciemniejszego na trąbie i prawie granatowego na końcu ogona.

– O czym tak marzysz, przyjacielu? – zapytałam, gdy był już na tyle blisko, by jego słoniowe uszy uchwyciły mój głos.

– Ja-ja tak tylko... so-sobie... – wyrwany z zadumy próbował nadać swoim niebieskim myślom kształt słów.

– Pływasz pieskiem w chmurach? – zapytałam bez zastanowienia, chcąc dać mu chwilę na powrót do świata mniej rozmarzonego.

- Nie, nie pły-ływam, ja się w chmu-murach ko-kołyszę... - rozpoczął opowieść. - Na ta-takiej huśtawce li-linami przywio-wiązanej do chmu-mury. Ta-tam wy-wysoko nikt nie widzi ja-jak śpie-piewam, re-recytuję i to be-bez za-żadnego za-zająknięcia... Zna-nam na pa-pamięć se-setki piosenek i wie-wierszy. Uwielbiam się ta-tak bu-buć razem z ni-nimi i wie-wiem, że one te-też uwielbiają to bu-bucie.

- Ja też uwielbiam huśtawki. - Uśmiechnęłam się na samą myśl o dziecięcym rozkołysaniu, takim z nieustającą chęcią wzbicia się wyżej i wyżej, z lekkim lękiem, kiedy huśtawka nabiera nadmiernej prędkości lub niebezpiecznej wysokości. - Pobujajmy się razem, proszę!

Ledwie ja wypowiedziałam swoje pragnienie, a Zygryd ubrał w słowa niepewność skrywaną w słoniowych oczętach, kiedy pojawiły się nad nami białe obłoki. Nie przysłoniły słońca, ale odsłoniły kawałek słoniowych marzeń, by zaraz potem przybliżyć ich spełnienie. Obłoki podarowały nam dwie huśtawki zawieszone wysoko ponad nimi, a ja wiedziałam, że muszą one być przymocowane do czegoś równie abstrakcyjnego jak... obłoki spełniające marzenia. Jednak ani na krótki niemrok nie pojawiła się we mnie obawa, że huśtawki mogłyby nie udźwignąć mnie lub słonia, którego głowa pełna była rozkołysanych piosenek i wierszy.

Podskoczyłam z radości, a spojrzawszy na towarzysza zatrzymałam się na parę sekund w powietrzu, zawieszona kawałek nad ziemią. Każdy by tak zrobił widząc różowo-niebieskie słońtątko wypełnione uśmiechem od jednego do drugiego słoniowego ucha, z oczami ledwo mieszczącymi nadmiar zdumienia i szczęścia! Z taką energią pewnie uda nam się wzbić ponad chmury - pomyślałam, a Zygryd, nie czekając, zaczął realizować ten plan. Parę bujnięć wystarczyło, by rozwiały się wszystkie nasze troski, by uśmiechy zastygły na naszych twarzopyszczkach, a z dostępnych nam słowników poznikały stwierdzenia takie, jak: „niemożliwe”, „nie umiem” czy „nie chce mi się”.

- Zaśpiewasz mi coś? - krzyknęłam ze swojej huśtawki do rozkołysanego słonia.

- Ja... ja... ja... - Widziałam, jak myśli rozbiegane pomiędzy jednym, a drugim słoniowym uchem szukają wymówki i w obawie, że w końcu ją znajdą, zaproponowałam ciut łatwiejsze zadanie.

- To może chociaż wiersz? Żeby było tak, jak w twoich marzeniach.

I znów zauważyłam wzmożony ruch słoniowych myśli poszukujących wykrętu. Na

szczęście, poszukiwania nie przyniosły skutku. Wszystkie dostępne zwykle na wyciągnięcie trąby wymówki, rozwiała radość bujania się w obłokach. Ta sama radość dała się słyszeć w głosie Zygryda, gdy rozpoczął recytację.

*Czy jesteś duży, czy też całkiem mały – to bez znaczenia,
bo każdy może swym sercem na niebie radość malować.
Każdy też może spełniać, gdy zechce, innych marzenia
i swym uśmiechem nawet pochmurny dzień kolorować...*

I tak, bez najmniejszego zająknięcia kolorował swoim głosem kolejne niemroki.

Widziałam, jak pod koniec wiersza przymknął oczy, mocniej zamachał nogami i w tempie tego rozkołysania zaczął nucić piosenkę. A właściwie... nie, to nie tak! To piosenka zaczęła nucić Zygrydem! Najpierw było to jakby mruczenie, które po chwili ułożyło się w melodię, przechodzącą stopniowo w dźwięki wygrywane na ukulele, którego Zygryd... nie miał. Choć tej gitary nie było, to jednak była! Ja ją słyszałam, słyszał ją też cały świat! W każdym zakątku ziemi i nieba słychać było dźwięki tej małej, czterostrunowej gitary, która była jak marzenia. Z jednej strony – nierealna i tak niezwykła, jak dźwięki, które wydawała. A z drugiej – tak rzeczywista, jak łzy szczęścia, które płynęły po policzkach pod wpływem jej brzmienia. I wtedy mój przyjaciel cichym, pełnym ciepła głosem, gdzieś wysoko ponad tęczę zaczął śpiewać o marzeniach. A ptaki, które pojawiły się zaproszone piosenką, latały nad nami bezszelestnie, tańcząc na tle błękitnego nieba.

Zygryd oddał się piosence bez reszty. Nie śpiewał strunami głosowymi, nie śpiewał nawet sercem – ten śpiew wydobywał się z każdej cząstki jego nieśmiałości trąbą otulonej. Choć miał zamknięte oczy, wiedziałam, że sercem widzi, jak spełniają się jego marzenia. A tak naprawdę one się nie spełniały – to on sam je spełniał. Jego głos był jak powiew poranka, który rozwiewa włosy i rysuje uśmiech na twarzy, tym tylko, że wieje. Słoń śpiewał to, co czuł, a każde słowo było jak spadająca gwiazda, która sprawia, że serce bije szybciej i mocniej. Gdy śpiewał o miejscu, w którym problemy rozplývają się jak cytrynowe cukierki, wiedziałam, że ma na myśli naszą wyspę. Ani na chwilę nie przestawał grać na swym niewidzialnym ukelele, kołysząc się w rytm melodii z taką gracją, jakby zapomniał, że jest słońcem. Jego flow było równie urzekające, jak sama piosenka. Śpiewający Zygryd zapomniał o tym, że się jąka. Wysoko nad tęczę zapomniał o wszystkim, co kiedyś przyprawiało go o smutek. Zdałam sobie sprawę, że nawet gdybym zakryła uszy, to i tak słyszałabym jego śpiew. Tak to już jest, gdy ktoś śpiewa całym sobą.

Chciałam, aby ta piosenka nigdy się nie skończyła. I tak się poniekąd stało. Już zawsze, kiedy patrzyłam na Zygryda, w sercu słyszałam jego piosenkę i widziałam szczęście oraz marzenia, spełniane gdzieś ponad tęczą. Zasluchana tkwiłam w innym świecie, a wracać do arburowej rzeczywistości zaczęłam dopiero, gdy śpiew ustał, dźwięki gitary przycichły, a huśtawki zamieniły energiczne bujanie w delikatne kołysanie. Wtedy też zorientowaliśmy się, że nie jesteśmy sami.

Wszyscy mieszkańcy wyspy stali z otwartymi buziami, spoglądając na nasz rozhuśtany duet i wsłuchując się w hipnotyzujący głos Zygryda. Zapadła cisza, która już po chwili musiała uciekać z wyspy, bo brawom, okrzykom radości i gratulacjom nie było końca! Nasz słonik słuchał tego tak zakłopotany, że chmury ponownie postanowiły przyjść mu z pomocą i, odwracając uwagę od Zygrydowych rumieńców, zaczęły spełniać dziecięce pragnienia pozostałych wyspiarzy.

Ni stąd, ni zowąd, na wyspie pojawiło się marzenie Róży – ogromna trampolina, na której wszyscy mogliśmy skakać ponad chmury. Łucja przytulała uroczego kuczka, który miał ją przewieźć do Zatoki Małego Księcia. Juanita zapiszczała z radości na widok karuzeli z kręcącymi się filiżankami. Tomi zaprosił nas do ciuchci, której trasa wiodła przez najbardziej malownicze zakątki wyspy. Grześ z przerażeniem spoglądał na ogromny roller coaster, potem przerzucił wzrok na Natchnienie, którego uśmiech uspokoił go na tyle, że bez odrobiny lęku wsiadł razem z nim do pierwszego wagonika. Alfi dostał maszynkę do prażenia arburowych pestek. Takie pop-pestki podawane na ciepło miały intensywniejszy smak, a doznania, jakich pozwalały doświadczać, trwały o cały niemrok dłużej. Obawiałam się trochę, że na koniec Natchnienie zaproponuje nam wycieczkę tunelem grozy, którego punktem obowiązkowym będzie pokaz jego umiejętności tanecznych. Na szczęście oszczędził nam tego, proponując w zamian przejażdżkę diabelskim młynem.

Nasza wyspa widziana z samego szczytu karuzeli wydawała się zaskakująco mała i trudno było uwierzyć, że może pomieścić tyle szczęścia. Gdy podekscytowani wysiedliśmy z koła, na dole, w samym środku wesołego miasteczka czekał piękny, drewniany konik na biegunach. Ciekawe, czyje marzenie miał spełnić?